

Katolicyzm na granicy. 1060 lat doświadczeń historii Polski

Zacznę od wytłumaczenia intencji tytułu i całego wykładu. Dziwne może się wydać połączenie dwóch słów: katolicki i granica. Katolicki oznacza powszechny, bez granicy, a jednocześnie przecież odkąd Bóg wcielił się w człowieka – ma granice Nieskończony, jak śpiewamy w pięknej kolędzie.



I to właśnie element historii Wcielenia w człowieczeństwo łączy historię z wymiarem boskim, a w konkretnym narodzie, w konkretnej wspólnocie politycznej zaszczerpiecie w tej wspólnocie chrztu łączy wymiar czasu z wymiarem przestrzennym, geograficznym, bo każdy naród, każda wspólnota może zmieniać swoje miejsce, ale mało jest narodów, które przetrwały w formie koczowniczej. Narody trwają na swoich miejscach, bronią tego miejsca i to połączenie czasu, miejsca, wieczności z historią pozwala mi zacząć ten wykład i usprawiedliwić jego tytuł.

Czy Polska ma historię wyjątkową – taki tytuł był poprzedniego wykładu i zacznę od jednego, dwóch zdań, które nawiążą do tamtej refleksji.

Sądzę, że jednym z motywów – ewentualnie do dyskusji z innymi historykami, tymi, którzy mogą kompetentnie porównać polską historię z innymi historiami – jest ten fakt, że Polska praktycznie nie ma żadnej historii przed chrztem. Wiemy, że była wspólnota polityczna piastowska, budowała się od kilkudziesięciu co najmniej lat, ale właściwie nic o tym nie wiemy,

ta historia jest bardzo uboga, ta poprzedzająca chrzest. Zaczyna się historia pisana datami dopiero od tej zapiski, którą przechowuje kopiariusz w Archiwum Metropolitarnym w Krakowie. Zapiski, która informuje o tym, że Mieszko poślubił Dobrawę, a druga w następnym roku, czyli w 966, że Mieszko zostaje ochrzczony. A więc jest to druga data zapisana w polskiej historii. Kronikarze niemieccy wcześniej odnotowują klęskę Mieszka w starciu z oddziałami saskiego pogramnicza, a więc w sumie możemy doliczyć się dwóch dat przed datą chrztu Polski. Bardzo niewiele.

To jest rzeczywiście wyjątkowe, bo przecież i Germanie, i Słowianie Wschodni, czyli Rusini, i oczywiście Skandynawowie, i Anglicy, Hiszpanie, i tak można wyliczać te narody, Węgrzy, mają arcybogatą historię przed przyjęciem chrześcijaństwa. U nas ta historia zaczyna się, można powiedzieć na dobre – w podwójnym sensie tego słowa – od chrztu.

Skoro tak, to trzeba się zastanowić, co wnosi do naszej historii chrzest i co Polska wnosi przez chrzest do historii powszechnej, katolickiej. Otóż chrzest przychodzi z południa, przez Czechy, choć kto dokonał chrztu, tego nie wiemy, tego się nie dowiemy już nigdy. Ale wiemy, że wynikał on z tego, że inne wspólnoty były przed nami ochrzczone i prowadziły misję. I teraz ta misja przechodziła do politycznej struktury, jaka wraz z przyjęciem chrztu znalazła się *na granicy świata ochrzczonego*.

Oczywiście tak się składa, że 22 lata po chrzcie Mieszka chrzest przyjmuje również wschodni sąsiad, czyli Ruś – w 988 roku. Tyle tylko, że chrzest naszych wschodnich sąsiadów, Rusinów, zostaje przyjęty w obrządku, który oddzieli się wyraźnie od obrządku łacińskiego już siedemdziesiąt kilka lat później w postaci tej ostatecznej, niestety do dzisiaj niezabliźnionej schizmy, która na blisko tysiąc lat rozdzieliła kościół wschodni i zachodni. A więc choć Ruś od końca X wieku zmierza w stronę chrystianizacji, to ta ścieżka będzie prowadziła trochę inną drogą, powiedziałbym nierzadko w konflikcie z sąsiednią ścieżką łacińską. I to także utrzymuje to pojęcie granicy, choć wspólnota chrześcijańska nas łączy, to różnica obrządków i wzajemna niechęć, narastająca wrogość – zwłaszcza od czwartej wyprawy krzyżowej, w której złupione zostało Bizancjum – będzie wzmacniała to poczucie różnicy.

O tym za chwileczkę powiem. Poczucie różnicy, w której odczuwalna jest granica. I co z tego wynika? Czy mamy tę granicę obalić, zbudować nad nią pomost, połączyć się? Ale w którą stronę? Czy to wschód ma przyjść do nas, czy my przyjdziemy do tego, co jest na wschód od nas, z naszą tożsamością, misją, powołaniem, które ma swoją kolebkę w Rzymie.

Ta kwestia będzie oczywiście inaczej wyglądała w relacjach z naszymi północnymi i zachodnimi sąsiadami u początków naszych dziejów. Bo dookoła Polski, z wyjątkiem południowej granicy, byli poganie. Bo przecież na zachód od państwa Mieszka i Bolesława tylko na pewnym odcinku znajdowała się Rzesza, natomiast w bezpośrednim sąsiedztwie były plemiona pogańskie Słowian zachodnich.

A na północy od nas rozciągała się olbrzymia sfera puszczy i różnych plemion, takich jak Jaćwingowie, Prusowie, Litwini, które pozostają przy pogaństwie. Jedne zostaną wytepiene, inne jak Litwini, jak wiadomo przez Polskę właśnie przyjdą do chrześcijaństwa. A więc to położenie już u progu naszych dziejów przypomina pewien dylemat wynikający z takiego właśnie *usytuowania na granicy*. I na ten dylemat odpowiada Bolesław Chrobry w sposób bardzo energiczny, a mianowicie przejmuje dziedzictwo Świętego Wojciecha, bo Święty Wojciech staje się pierwszym patronem Polski i to znaczy, że patronuje Polsce jako wspólnocie politycznej idea misji – niesienia chrześcijaństwa dalej.

Ta idea zostaje podjęta przez Bolesława Chrobrego w postaci misji pięciu braci, którzy stali się męczennikami 11 listopada 1003 roku, a także w misji świętego Brunona z Kwerfurtu, który zginął z rąk najprawdopodobniej Jaćwingów, w każdym razie pogan, sąsiadujących z państwem piastowskim od północnego wschodu. Właśnie kontynuując dzieło swojego idola, czyli idąc w ślady Świętego Wojciecha, także stał się męczennikiem w służbie Chrystusa i w służbie jednocześnie państwa polskiego, bo takie było umocowanie misji Brunona z Kwerfurtu. A więc poszerzać, rozszerzać te granice.

Ale co mógł robić? Oczywiście misja chrześcijańska, tu Polska nie ma żadnego wyróżniającego charakteru, Polska nie ma osobnej tożsamości chrześcijańskiej. Jest ochrzczona, tak jak ochrzczeni są Irlandczycy, Italczycy, Francuzi, czy Niemiec nasi sąsiedzi. Tu nie ma różnic. Tworzymy jedną *Christianitas* do końca właściwie wieku XV.

Ale to, co wyróżnia Polskę, to jest właśnie owo *położenie na granicy* i wynikające stąd dylematy, w których oprócz chrześcijaństwa pojawia się jeszcze inny, może mniej ważny, bo nieważny dla wieczności, ale ważny dla naszej teraźniejszości i kolejnych pokoleń – aspekt kulturowy. Chrześcijaństwo, które przyjął Mieszko z Rzymu, ze źródła łacińskiego, niesie ze sobą pewną treść kulturową, której istotą jest właśnie łacina, wspólnota łacińskiego świata, którą później – w konfrontacji ze światem wschodnim, bizantyjskim, greckim – będziemy nazywać światem zachodnim. Ta łacińska tożsamość zaczyna tworzyć polską tożsamość kulturową, która jest częścią szerszej europejskiej tożsamości kulturowej – w sensie, któremu próbuje zaprzeczyć dzisiejsza biurokracja europejska, ale w sensie bardzo głębokim i ważnym dla nas.

Ta cecha specyficzna owego *katolicyzmu na granicy* może być zilustrowana przez przykład bardzo szczególny, a mianowicie w 1938 roku odkryto na Wawelu grób biskupa, którego imię można było zidentyfikować, ponieważ znaleziono pierścień z wrytym imieniem, a także kilka innych insygniów władzy tego biskupa. To był biskup Maur, kolejny biskup krakowski, zmarł w roku 1118. I to właśnie w kaplicy, która jest kaplicą grobową tego biskupa, znajduje się serce polskiej tożsamości.

Wiemy, że wiele różnych miast, ośrodków, a raczej wiele polskich serc może z dumą powiedzieć, że niosą w sobie to, co najcenniejsze dla polskości. Ale niewątpliwie krypta, zwana kryptą świętego Leonarda od swojego patrona na Wawelu, tam właśnie, gdzie został odkryty grób biskupa Maura, jest jednym z takich serc Polski. Tam przecież zostanie pochowany Jan III Sobieski, Tadeusz Kościuszko, książę Józef Poniatowski i dochowany zostanie później Władysław Sikorski. Połączenie tych znamienitych bardzo w swoim znaczeniu historycznym postaci naszych dziejów w jednej maleńkiej kaplicy na Wawelu jest właśnie wymownym symbolem wyjątkowości i znaczenia *katolicyzmu na granicy*, jak o tym za chwilę powiem, nawiązując do wszystkich wymienionych przeze mnie nazwisk pochowanych w kryptcie.

Dlaczego zatrzymuję się przy Maurze? Po pierwsze dlatego, że on zwraca uwagę na aspekt katolicyzmu. To jest przybysz, nie wiadomo czy z Afryki, pewnie bardziej z Italii, ale na pewno z południa. To nie był Polak, bez sporu. Czy był Afrykaninem? Zastanawiałem się nad tym, kiedy miałem okazję rozmawiać o tym króciutko z kardynałem Sarahem, wspaniałym współczesnym księciem kościoła z Afryki. Ale ten aspekt katolicki jednocześnie oznacza coś więcej niż tylko przypadkową osobę misjonarza, który staje się biskupem w Krakowie. Bowiem to biskup Maur nakazał sporządzić pierwszy w całej Europie środkowo-wschodniej spis książek.

Nie ma żadnej bibliografii, żadnego spisu książek wcześniejszego w tej części Europy na wschód od Niemiec niż ten, który sporządził biskup Maur. A w tym spisie książek – czyli oczywiście manuskryptów, bo w takim sensie można mówić o książkach na przełomie XI i XII wieku – znajdują się nie tylko dzieła religijne związane z interpretacją czy wykładem Pisma Świętego, ale także klasyczne dziedzictwo antyku, a więc Owidiusz, Terencjusz, rzymski komediopisarz ze swoją komedią, w której zapisane są słowa, będące później symbolem renesansu: *homo sum, humani nil a me alienum esse puto* – człowiekiem jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce.

Te słowa są już w skarbcu bibliotecznym katedry krakowskiej na początku wieku XII. I to oznacza właśnie pewien wymiar kulturowy, cywilizacyjny, który będzie stopniowo się poszerzał i pogłębiał najpierw jako import, ale potem jako dzieło, które kolejne pokolenia Polaków będą współtworzyły. Takim momentem, w którym to właśnie dziedzictwo zaczyna się stykać z problemem granicy jest moment bardzo ciekawy – rzadko przypomniany w naszych podręcznikach, czy też raczej w ogóle w nich nieobecny – a mianowicie pierwszy list napisany przez polskiego autora, przez biskupa Mateusza, następcę biskupa Maura, list z 1147 roku napisany do Bernarda z Clairvaux, wielkiego świętego patrona II krucjaty. Bernard wzywał książąt z całej chrześcijańskiej Europy do udziału w krucjacie, bo grób Zbawiciela był znów zagrożony, odbity przez Islam. I wtedy w imieniu księcia krakowskiego odpowiada biskup Mateusz, już Polak, to znaczy polskiego powodzenia.

Odpowiada niezwykle wyszukany listem, w którym są stylistyczne nawiązania do Horacego, Owidiusza. Ale jest coś więcej, a mianowicie stwierdzenie, że Polska przez swoje *położenie na granicy* ma inne, bliższe zadanie niż udział w krucjacie w Ziemi Świętej. Tym zadaniem jest Ruś, nawrócenie Rusi. I pisze tak Mateusz: narodów ruskich są niepoliczalną liczbą gwiazdopodobnych, nie dochowują przepisów wiary prawdziwej. Ruś jest jak inny świat. To zderzenie z innym światem, który jest zaraz za granicą i powinniśmy coś z tym zrobić. To jest nasze zadanie – pisze biskup krakowski Mateusz do świętego Bernarda.

Ktoś może powiedzieć – wykręt. Nie chce nam się jechać do Ziemi Świętej, to powiemy, że mamy misję blisko, zaraz za granicą. Ale to jest odzwierciedlenie realnego położenia Polski. Położenia, które nazwę nie tylko geopolitycznym, ale geokulturowym. Położenia na styku z innym światem, który nie jest jeszcze wtedy tak drastycznie inny, jak stanie się później. Ruś była krajem znanym, choćby z wypraw Bolesława Chrobrego czy Bolesława Śmiałego, ale także z licznych małżeństw między księżniczkami ruskimi a książętami piastowskimi i *vice versa* książętami ruskimi i księżniczkami piastowskimi. Więc nie były to jeszcze wtedy radykalnie antagonistyczne relacje, ale staną się wkrótce i o tym za chwilę będę mówił, jak się pogłębił ten podział.

Niemniej tutaj po raz pierwszy zdefiniowany jest ten problem położenia *katolicyzmu na granicy*. Katolicyzmu, który na tej granicy Polska wspólnota polityczna reprezentuje. To co ważne to właśnie to, że Polska nie czuje się, nie identyfikuje się z centrum tej katolickiej wspólnoty. Ktoś powie, to upośledza polskie możliwości polityczne, a ktoś inny powie – ja się zaliczam do tej grupy – że to ratuje nas przed pokusą imperialnej pychy. Ponieważ narody, które utożsamiają się z centrum cywilizacji, z centrum wiary samej, ulegają nieustannie tej samej pokusie, pokusie imperialnej, podporządkowania religii celom politycznym.

I tak jest w przypadku Rusi, później moskiewskiej Rusi, która ogłosi się trzecim Rzymem, centrum religii, która ma podbić cały świat dla zbawienia wszystkich ludzi przez carów moskiewskich. Bo tam jest centrum, tam jest serce tej ideologii politycznej, która zjadła religię.

Podobnie w Niemczech, gdzie to zrośnięcie tytułu imperatora z funkcją czy godnością króla niemieckiego – a więc misji uniwersalnej, w której cesarze będąc jednocześnie królami niemieckimi, chcą panować nad Kościołem, nad papieżami, nad całą *Christianitas* – będzie prowokowało nieustannie tę pokusę, by utożsamić panowanie niemieckie z interesem całego chrześcijaństwa, całej wspólnoty, całej cywilizacji. Pokusę niebezpieczną.

W Polsce nie ma tego, bo w Polsce od początku do dzisiaj było jasne, że nasze serce jest w Rzymie. Tam jest serce naszej kultury. Nie w Warszawie, nie w Krakowie, nie w krypcie Świętego Leonarda. W takim najgłębszym znaczeniu po prostu jesteśmy częścią tej szerszej wspólnoty, której najważniejszym punktem, punktem orientacyjnym jest Rzym. Papieski Rzym, Rzym Świętego Piotra. Tam są klucze nie tylko Królestwa Niebieskiego, ale także klucze do naszej tożsamości.

Nie wystarczą te klucze, które możemy schować w Gnieźnie czy w Krakowie. To właśnie sprawia, że utrzymuje się poczucie, że jesteśmy na granicy, służymy czemuś większemu od nas i stąd powstaną zresztą do dzisiaj powtarzające się spory – a może to źle, może powinniśmy zrezygnować z tej podległości duchowej centrum, które jest na zewnątrz nas. Na przykład Jerzy Giedroyc, wielki polski patriota, człowiek, który można powiedzieć organizował kulturę polską emigracyjną w drugiej połowie XX wieku, był konsekwentnym wyznawcą tego poglądu, że Polsce szkodziło podporządkowanie Rzymowi, że Polska powinna być swoim własnym centrum i same nieszczęścia wynikały z podporządkowania polskiej tożsamości duchowej Rzymowi.

Tu akurat zdecydowanie różnię się z księciem z Maisons-Laffitte, ośmielam się w każdym razie. Ale pokazuję te dyskusje, które wokół tego zagadnienia wynikają. Nasza historia przebiega właśnie zgodnie z tą linią, którą wyznacza chrzest przyjęty z Rzymu w sensie duchowym, kulturowym i naszą identyfikację z granicą tej wspólnoty, której centrum jest Rzym.

Poczucie tej granicy, jej znaczenia może powodować pewnego rodzaju kompleks. Niebezpieczny kompleks, który warto w sobie zwalczać, ale który czasem bywa usprawiedliwiony, a czasem usprawiedliwiony być przestaje i staje się szkodliwy. Otóż biskup Mateusz w swoim liście wyraża ów kompleks bardzo wyraźnie.

Kompleks, który do dzisiaj funkcjonuje jako straszliwa zawada na drodze do zdrowego funkcjonowania polskiej wspólnoty politycznej. Kompleks, że jesteśmy gorsi i że tylko tam z zachodu, czy z południa, w przypadku XII wieku, może przyjść mądry nauczyciel, który powie nam co robić, bo sami nic nie potrafimy. Pisał tak Mateusz:

Racz przeto miły ojcze, który oświecił inne kraje i nasze oświecił ciemności. Racz nieokrzesanych Słowian pouczyć na drodze obyczajów i zasad życia. Racz obecnością swoją zagościć w lodowatej strefie, aby na przyjście twojego wysłannika straszliwe zimno północny tchnieniem południowego wiatru i płomieniem wulkanu złagodziło, aby nieogładzone barbarzyństwo waszymi naukami zostało okrzese.

Tak można było i trzeba było pisać w połowie XII wieku, bo był olbrzymi dystans kulturowy między tym, co miały do zaoferowania najwyżej rozwinięte centra duchowe, kulturowe, przechowujące dziedzictwo antyku i chrześcijaństwa w Italii, czy nawet w zachodnich i południowych Niemczech, czy we Francji, a tym, co zdążyło się rozwinąć w ciągu krótkiego czasu na ziemi polskiej. Ale właśnie na tym polega nasz udział we wspólnocie łacińskiej, we

wspólnocie tego katolickiego, łacińskiego świata, że stopniowo dajemy coraz więcej własnego wkładu do tej wspólnej skarbnicy i stajemy się jej współgospodarzami.

Ci, którzy w XX i XXI wieku o tym zapomnieli, po prostu nie znają swoich historii, nie mają poczucia godności, budują fałszywe poczucie godności na poczuciu wyższości wobec własnej wspólnoty, własnych współbraci, których traktują jak barbarzyńców, a siebie jak reprezentantów owych nauczycieli, najczęściej z Niemiec, którzy z linijką powinni stać i tłuc po łapach tępych mieszkańców nieszczęsnego kraju nad Wisłą. Ten zły aspekt kompleksu, o którym mówię, jest także długofalową konsekwencją naszego położenia *na granicy*.

Ale to położenie przybiera dramatycznego charakteru, o którym najłatwiej jest powiedzieć tutaj, w tym miejscu, czyli w Legnicy, bo wiąże się oczywiście z zastąpieniem owego pojęcia innego świata ruskiego, pojęciem, które jest dużo bardziej wyraziste, odczuwalne i właśnie dramatyczne. Ruś kijowska zostaje zastąpiona przez Ruś mongolską. A to jest zasadnicza różnica, bowiem najazd mongolski, który pierwszy raz liźnął, można powiedzieć, brutalnie Ruś w 1223 roku, 17 lat potem zajął całą Ruś i dotarł w następnym roku tutaj, do Legnicy, gdzie 9 kwietnia 1241 roku rycerstwo polskie, w części także niemieckie, stawiało czoła najeźdźcom z Mongolii. I przegrało w tym starciu, ale nawała mongolska zawróciła z innych powodów i Polski pod swoje jarzmo nie wzięła.

A Ruś wzięła w całości – niemal w całości, z niewielkimi wyjątkami zachodnich skrawków Rusi – na 240 lat. To potworny kawał czasu. Przypomnijmy sobie, nasze rozbiory trwały 123 lata i traktujemy je jako traumę, jako coś, co bardzo negatywnie wpłynęło na wiele naszych cech, zjawisk.

Ruś przez 240 lat była pod panowaniem mongolskim i to sąsiedztwo wtedy ze światem mongolskim przybiera postać – po raz pierwszy powiedziałbym – cywilizacyjnej konfrontacji tak rozumianej głęboko, jak to wyraził pierwszy raz polski, najprawdopodobniej, autor historii Tatarów. To był jeden z towarzyszy misji papieskiej Jana z Piany Carpini, anonimowy towarzysz tej wyprawy – bo znany jest Benedykt Polak, który towarzyszył szefowi tej misji, do Chana Mongolskiego.

Znamy go tylko z takiego skrótu C. de Bridia, czy to był Czesio z Brzegu, czy jakiś inny Polak krył się pod tym skrótem, pod którym odkryty został rękopis z jego historią Tatarów, odnaleziony dopiero w 1965 roku. Zmienił bardzo obraz najazdu mongolskiego, ale nie to nas interesuje, a pewna uwaga, którą zawarł autor C. de Bridia w swoim traktacie opartym na bezpośredniej rozmowie z Mongołami. Bo przecież dotarł razem z szefem swojej misji do Karakorum, do stolicy mongolskiego megaimperium. Napisał tak: według Tatarów i niektórych innych, świat dzieli się na część wschodnią i zachodnią. Zachód zaczyna się od kraju Livonii i rozciąga się poprzez Prusy, aż do Grecji oraz dalej i obejmuje cały kościół katolicki. Dlatego nawet Tatarzy nazywają Ojca Świętego Wielkim Papieżem całego Zachodu. Pozostała natomiast część zwie się Wschodem.

To jest pierwsze znane mi przeciwstawienie Wschodu i Zachodu po przeciwstawieniu wschodniego i zachodniego Cesarstwa Rzymskiego. To przeciwstawienie jest dużo głębsze, bo obejmuje świat zachodni, który jest tożsamy ze światem katolickim, jak pisze C. de Bridia. Zachód to jest świat katolicki. Mówię o tym dlatego, że właściwie potem przez wieki nie używano przeciwstawienia Wschód – Zachód w Europie, dopiero w XVIII wieku. Raczej mówiono o osi północ – południe.

A tutaj w połowie XIII wieku po raz pierwszy pojawia się w zderzeniu ze światem mongolskim takie poczucie, że Europa jest tylko częścią całego świata. I cały ten olbrzymi świat poza katolicką Europą to jest Wschód. Myślę, że to bardzo ważna uwaga z punktu widzenia dzisiejszego naszego doświadczenia.

Ruś mianowicie przekształca się od połowy wieku XIII w *Urus Ulus*, tak to po mongolsku się nazywało. Czyli Ruski Ułus, taką marchię zachodnią mongolskiego imperium. To jest dokładnie to, ku czemu zmierza Władimir Putin w tej chwili. Marchia zachodnia chińskiego imperium. Przybudówka tego wielkiego Wschodu, który uderza w Zachód kurczący się, słabnący, przestraszony, w Europie. Choć już nie katolicki w dużym stopniu.

Ta wycieczka w XXI wiek odciąga mnie od opowieści o doświadczeniach Polski na granicy. Ale myślę, że warto takie eksperymenty myślowe prowadzić, żeby zastanawiać się nad znaczeniem historii dla rozpoznania naszej współczesności i refleksji nad przyszłością.

Ważny jest dla nas następny krok w tej historii doświadczeń *katolicyzmu na granicy*, krok, który wynika z kryzysu mongolskiego imperium – bo każde imperium, nawet tak wielkie jak mongolskie, kończy się, przechodzi kryzys, wewnętrzny upadek. I tak stało się z mongolskim imperium, z jego ruską, zachodnią flanką. Już w wieku XIV ten kryzys był odczuwalny, choć ostatecznie panowanie mongolskie nad Moskwą skończy się dopiero w wieku XV. Ale mongolskie panowanie nad dużą częścią zachodniej Rusi, nad obszarem Kijowa, rozpadnie się wskutek swarów wewnętrznych w imperium mongolskim już w wieku XIV.

I na to miejsce wchodzi Litwa, pogańska Litwa, która rozprzestrzenia się na terenie, który wypada ze słabnącej ręki chanów ruskiego ułusu, Złotej Ordy. I ten właśnie moment, czyli połowa XIV wieku, spotyka się ze stale nawracającą we wcześniejszych wiekach ideą misji polskiej wobec Litwinów. Ta idea trwa w wieku XIII, kolejne próby są podejmowane – ochrzcić Litwinów, ochrzcić księcia Litwy pogańskiej, która nęka bardzo swoimi najazdami piastowskie księstwa, zwłaszcza mazowieckie, sandomierskie.

Ale te misje nie udają się, Litwini odrzucają, są wierni swojemu pogańskiemu wymiarowi tożsamości. Te misje łączą się z pewną ideą polityczną już bardzo wyraźną w momencie, kiedy dochodzi do zjednoczenia ziem polskich przez Władysława Łokietka i świadomie zaplanowanego przez niego małżeństwa jego syna Kazimierza z księżniczką litewską, którą popularnie nazywamy Aldoną, choć źródła historyczne nie potwierdzają takiego imienia. Na chrzcie otrzymała imię Anna.

Litewska księżniczka połączona małżeństwem z synem pierwszego króla odnowionego Królestwa Polskiego, czyli Władysława Łokietka. To jest właśnie zapowiedź tej misji, która zrealizuje się dopiero w następnym pokoleniu, a właściwie dwa pokolenia dalej. Misji, która zmienia położenie *katolicyzmu na granicy*. Bo jak wiemy, wiek XIV kończy się zawarciem małżeństwa wielkiego księcia Jagiełły z królową, a raczej królem polskim w żeńskiej osobie – Jadwigą – i Unią w Krewie w 1385. Ta Unia była de facto umową małżeńską. Taki charakter był Unii w Krewie, później pogłębiany oczywiście w kolejnych aktach unijnych. Ale zwracam uwagę na ten fakt połączenia, bo jest to istotny moment w identyfikacji polskiej misji na granicy.

Czy ma to być misja z mieczem w ręku? Tak jak prowadzona była nierzadko przez wiele różnych podmiotów politycznych i czasem choć rzadko przez polskich książąt. Nie, istotą tej

misji jest małżeństwo. To jest Unia wynikająca z dobrowolnego połączenia dwóch stron. Połączenia, którego istotą powinna być miłość.

Tak jak to zdefiniuje zresztą kolejny akt Unii w swojej wspaniałej preambule – Akt Unii w Horodle w 1413 roku – która mówi o misterium, o tajemnicy miłości, bez której nic się nie udaje w życiu, ani ludzi, ani wspólnot politycznych. I mówi o tej miłości, która ma połączyć nie tylko króla z królową, ale ma połączyć rodziny szlacheckie – bo jak wiadomo w Unii w Horodle 50 rodzin litewskich najznacznějších zostało przyjętych do polskich rodzin rycerskich, do polskich herbów. Tak na przykład Radziwiłłowie uzyskali herb Trąby od ówczesnego prymasa Mikołaja Trąby, pierwszego prymasa Polski.

Otóż zatrzymuję się przy tym aspekcie, bo jest on ważny w *położeniu na granicy*. Czy ma to być granica ofensywy militarnej, nawracania mieczem, czy granica, w której środkiem zmiany sąsiada – poszerzania sfery katolicyzmu, świata łacińskiego Zachodu – jest perswazja kulturowa, misja połączona z misją chrześcijańską, bez miecza. I ten właśnie aspekt staje się możliwy dzięki pogłębieniu już w wieku XIV polskiej obecności w kulturze europejskiej. Polska już nie jest krajem peryferyjnym w takim znaczeniu, by musiała, tak jak pisał biskup Mateusz 200 lat wcześniej, tylko czekać na tchnienie „wulkanu z południa, który roztopi lody barbarzyństwa” w naszym kraju. Nie. Kazimierz Wielki zakłada uniwersytet w Krakowie w 1364 i to jest bardzo ważne wydarzenie symbolizujące miejsce Polski na mapie katolickiej Europy, bo uniwersytet jest wynalazkiem katolickiej Europy.

Nie było wcześniej uniwersytetów, to jest wynalazek katolickiej Europy i Polska dołącza do tego grona krajów z uniwersytetami przed Niemcami. Przypomnę, że Uniwersytet Krakowski został ufundowany kilkanaście lat przed pierwszym uniwersytetem w Niemczech, a o rok wcześniej od Uniwersytetu w Wiedniu, w Austrii mówiąc bardziej precyzyjnie.

Otóż ten uniwersytet to nie jest tylko powód do pysznienia się po wiekach, że był wcześniej niż w Niemczech. Nie. Ten uniwersytet po prostu miał bardzo ważną rolę do odegrania zgodnie z zamysłem króla i przede wszystkim zgodnie z zamysłem króla, który odnowił ten uniwersytet, czyli Jagiełły. Drugim rektorem odnowionego w 1400 roku uniwersytetu został Litwin, kuzyn Jagiełły. Właśnie po to, żeby zaznaczyć – nie wiem, czy on umiał pisać, to nie było takie ważne – ważne było to, że miał być symbolicznie jakby kierownikiem tej placówki, której sens wyznacza misja. Misja skierowana na północny wschód, na Litwę i na świat ruski także, który dołączony jest wraz z Unią Litewską i też wraz z wcześniejszą wyprawą Kazimierza Wielkiego – po spadek po krewniakach na Rusi Zachodniej, czyli Rusi Czerwonej.

A więc świat ruski i pogański świat litewski stają się częścią tego, można powiedzieć, procesu *misji na granicy*, misji, która wobec pogan litewskich ma charakter po prostu misji chrześcijańskiej. I rzeczywiście Polska dokonując chrztu Litwy dołącza do dosyć ekskluzywnego grona narodów, wspólnot politycznych, które mogą się szczyć nawróceniem całego narodu i to ważnego narodu, bo Litwa była bardzo ważnym krajem na mapie politycznej Europy w wieku XIV i XV.

Rzeczywiście rok po poślubieniu królowej Jadwigi Jagiełło osobiście jedzie na Litwę obalać święte dęby pogańskie i uczy po litewsku odmawiać Ojcze nasz, Zdrowaś Mario swoich pobratymców w Wilnie i okolicach. Polscy księża tworzą zrab katedry wileńskiej, wtedy ufundowanej i kolejnych kościołów, które na Litwie się pojawiają.

Taki jest praktyczny wymiar misji chrześcijańskiej wobec narodu litewskiego. Nacjoniści litewscy w XIX i XX wieku absurdalnie próbowali temu zaprzeczać, chcąc wmówić sobie i swoim potomkom, że Litwini ochrzczili się sami. To tak jakbyśmy powiedzieli, że w X wieku Polacy ochrzczili się sami. To po prostu było niemożliwe. Zrobili to Polacy wobec Litwinów *bez przemocy*.

I ten właśnie aspekt *bez przemocy* został podkreślony w kontraście i w konflikcie jednocześnie z procesem poszerzania chrześcijaństwa przemocą. Jego symbolem stał się zakon krzyżacki, który zdążył w pewnym sensie na prośbę Konrada Mazowieckiego i polskich książąt wytepić Prusów i Jaćwingów. Ale kiedy zabrał się za Litwinów, to ostatecznie zagrożona także wspólnota polska połączy się właśnie Unią z Litwinami, żeby odeprzeć wspólnie zagrożenie ekspansji zakonu krzyżackiego, który pod hasłem czy pod symbolem krzyża realizował swoje świeckie, imperialne de facto interesy.

To zdarzenie z zakonem krzyżackim, wojna, stanie się pobudką do sformułowania pewnej polityczno-moralnej doktryny, która jest bardzo ważną częścią historii polskiego *katolicyzmu na granicy*. To jest doktryna sformułowana bezpośrednio w związku z wojną z zakonem krzyżackim, pierwszy raz ogłoszona w kazaniu nadwornego kaznodziei Jadwigi, a później Jagiełły – Stanisława ze Skarbimierza w 1410 roku wygłoszonym niedługo przed bitwą grunwaldzką. Potem rozwinięta przez jego ucznia, Pawła Włodkowica, na Soborze w Konstancji w 1415, największym zgromadzeniu intelektualno-politycznym w Europie XV wieku.

Ta doktryna sprowadza się do jednej zasadniczej tezy: nie wolno nawracać siłą. Poganie, jeżeli są spokojnymi sąsiadami, mają prawo posiadać swoją ziemię i nie można im jej zabierać. Nie może tego zrobić ani cesarz, ani nawet papież pod pozorem nawracania.

To była można powiedzieć rewolucyjna doktryna, jaką przedstawił Paweł Włodkowic na Soborze w Konstancji. Doktryna, którą można nazwać doktryną prawa narodów do niepodległości. Oto najważniejszy wkład polskich prawników w historię prawa międzynarodowego. Niestety od tamtych czasów poziom prawa na moim uniwersytecie podupadł. Ale wtedy była to bardzo pionierska doktryna. Powód do dumy, wciąż powód do dumy.

Nawiązał do tego w swoim przemówieniu w ONZ w 1995 roku Papież Jan Paweł II. Zacytuje: „Musimy wrócić do refleksji etyczno-prawnej, jaką podczas Soboru w Konstancji zapoczątkowali przedstawiciele Uniwersytetu Krakowskiego z Pawłem Włodkowicem na czele, którzy odważnie bronili prawa pewnych narodów europejskich do istnienia i autonomii”. Jan Paweł II wskazał też: „na zasadniczą różnicę między szaleńczym nacjonalizmem głoszącym pogardę dla innych narodów i kultur, a patriotyzmem, który jest godziwą miłością własnej ojczyzny”.

O tym właśnie przypominała ta doktryna sformułowana przez prawników z Uniwersytetu Krakowskiego. I udało się zrealizować tę doktrynę w niełatwej przecież – bo żadna unia polityczna nie jest łatwa – niełatwej unii z Litwą. Udało się ją przeprowadzić przez kolejne szczeble, aż do tego najbardziej zaawansowanego szczebla, jakim była Unia Lubelska w 1569 roku.

To, co w pewnym sensie umacniało Unię, to właśnie poczucie *położenia na granicy*. Z jednej strony walił młot krzyżacki, od północy. Jak wiadomo zostanie on skruszony dopiero w 1466

roku przez Kazimierza Jagiellończyka, nie pod Grunwaldem, tylko kilkadziesiąt lat później. W sensie ostatecznym, jak się wydawało.

Ale od południa od końca wieku XIV, wali inny młot z symbolem księżycy wyrysowanym na jego trzonie. To oczywiście ofensywne, agresywne imperium Turków Osmańskich, które po podbiciu Anatolii, likwidacji Bizancjum, uderza na Europę południową i stopniowo podbija tamtejsze narody, w większości prawosławne, słowiańskie: Bułgarów, Serbów, także niesłowiańskich Mołdawian i Wołochów. A wreszcie dociera do granic i obala granice wielkiego, wspaniałego i najczęściej sprzymierzonego z Polską Królestwa Węgierskiego.

Ta ofensywa uderza stopniowo także w granice Litwy. Bo Litwa, połączona z Polską unią, rozciąga się wtedy do brzegów Morza Czarnego, do Kili i Białogrodu. To są okolice dzisiejszej Odessy, wtedy nieistniejącej. I to uderzenie od południa nowego, islamskiego, innego świata, z którym do tej pory Polska nie miała do czynienia – choć oczywiście cywilizacja łacińska walczyła z naporem islamu od wieków – tworzy nowy wymiar tego położenia geopolitycznego *państwa polsko-litewskiego na granicy*.

To dodatkowo mobilizuje do utrzymania tej unii, do jej pogłębiania przez braterstwo broni na Przedmurzu. I wtedy właśnie ta metafora Przedmurza staje się jeszcze żywsza, bo trwalsza niż wywołana jedną bitwą pod Legnicą w 1241 roku. Właściwie od XV wieku, pomimo często odnawianego z powodów politycznych pokoju z Turcją, jednak wznawia się ta wojna, kiedy Imperium Osmańskie przystępuje do ofensywy. Do realizacji czegoś, co jest istotą religii islamu – podboju całego świata dla sztandaru proroka. To jest istota tej doktryny, która wpisana jest w islam.

I kolejne rozdziały zapisywane są w tej *historii położenia na polskiej granicy*, poczynając oczywiście od śmierci w 1444 roku Władysława, syna Władysława Jagiełły, od miejsca swojej śmierci nazwanego Warneńczykiem. Późniejsze kolejne bitwy na tym pograniczu, kolejni bohaterowie ścierający się z Tatarami i z Turcją – jak choćby Żółkiewski, czy wspomniany już Jan III Sobieski, wieńcząc tę historię swoją wspaniałą odsieczą w Wiedniu w 1683 roku – utwierdzają w polskiej tożsamości to poczucie, *jesteśmy na granicy*.

Możemy być pomostem prowadzącym przez uniwersytety. Z Uniwersytetu Krakowskiego, później ze sprowadzonych do kraju jezuitów wyrośnie pierwszy uniwersytet w Europie Wschodniej, to znaczy Uniwersytet Wileński. Następnie uniwersytet w Kijowie, otwarty przez Jana Kazimierza. To właśnie symbolizuje tę ścieżkę pomostu, ekspansji – ale duchowej, kulturowej, bez przemocy.

Choć żeby utrzymać te granice trzeba było siły militarnej, bo oprócz uderzenia od południa wali teraz od wschodu, północnego wschodu jeszcze trzeci młot. To jest młot Imperium Moskiewskiego, od XV wieku okrzepłego, uformowanego pod sztandarem ideologii uniwersalnej, Moskwy III Rzymu, Moskwy jako centrum religii całego prawosławia. Ponieważ upadło Bizancjum, więc prawosławie równa się Moskwa, a Moskwa równa się prawosławie.

Ta doktryna – która na szczęście jest kwestionowana przez prawosławie, wciąż reprezentowane przez patriarchę konstantynopolitańskiego, dzisiaj wroga nr 1 Putina – niestety stała się doktryną państwową Rosji i znów nią jest w formie ideologii ruskiego miru. Więc i w tym sensie ta historia sprzed lat 500-600 okazuje się nadal aktualną częścią naszej rzeczywistości i wyzwań, przed którymi stoimy. Sąsiadujemy z Ruskim Imperium, a raczej z Moskwą III Rzymem i jednocześnie Moskwą, która przecież zda się *Urus Ulus* Imperium Chińskiego.

Otóż to właśnie zderzenie z programem rekonkwisty imperialnej, jaki głosi Moskwa – to znaczy hasło zbierania ziem ruskich – sprawia, że trzeba walczyć. Kościoły w formie, jakiej nadaje im styl zachodnioeuropejski, kościoły katolickie, potem kościoły barokowe, one wyznaczają wizualną granicę między światem Zachodu, a światem Wschodu. Bo na wschód od nich są już tylko kościoły prawosławne, w innym zupełnie stylu budowane. To jest widoczna granica, granica katolicyzmu, granica kościołów wybudowanych w stylu gotyckim i potem tych, które budowane są w stylu barokowym. Notabene niewiele kościołów powstało w stylu renesansowym, ale tego najbardziej brakuje Rosji.

Rosja nigdy nie przeszła przez renesans, a bez renesansu, tak jak bez katolicyzmu nie ma kultury europejskiej. W tym sensie Rosja nigdy nie może należeć do kultury europejskiej, bo nigdy nie doświadczyła renesansu, to trzeba podkreślić. Otóż te walki na granicy z Moskwą, walki na granicy z Turcją i Tatarami umacniają poczucie identyfikacji *polskiego miejsca na granicy katolicyzmu* z Przedmurzem – z metaforą walczącego, ogromnego Przedmurza.

Ale jednocześnie trwa, jak już powiedziałem, idea pomostu. Idea, która odżywa w najbardziej fantazyjnej formie na początku XVII wieku, kiedy wygasa dynastia Rurykowiczów w Moskwie i pojawia się idea, o której najwięcej i najgłębiej pisał profesor Wojciech Polak w swoich wcześniejszych pracach. Idea nawrócenia Moskwy – można tak powiedzieć, nawrócenia politycznego – przez osadzenie tam władcy polskiego, Władysława, syna Zygmunta III. Idea połączona z poczuciem, wcześniej wyrażanym przez poselstwo Lwa Sapiehy, że skoro udało się z Litwą, to może uda nam się z Moskwą, może ich też przerobimy. Tacy jesteśmy silni kulturowo, to było poczucie olbrzymiej siły kulturowej szlachty. Wszystko nam się udaje, jesteśmy potęgą gospodarczą, intelektualną – mówię o Złotym Wieku XVI – to przecież i tych grubych barbarzyńców moskiewskich stopniowo przerobimy na swoją modłę.

Okazało się, że grubi barbarzyńcy moskiewscy po prostu mają swoją odrębną cywilizację. I te myślenia, optymistyczne założenia, że uda się ich przerobić na naszą modłę, legły w gruzach w zderzeniu z ideą Moskwy III Rzymu, z ideą imperializmu moskiewskiego, który główne swoje ostrze wysuwa przeciwko światu łacińskiemu. Żyje nienawiścią do Zachodu, do łacinnictwa.

A więc ta idea ekspansji duchowej, kulturowej, cywilizacyjnej na wschód zatrzymuje się na granicy z Moskwą, a Moskwa przesuwając militarnie te granice na zachód swoją ofensywą imperialną.

Ale zmienia się coś jeszcze w położeniu katolicyzmu i położeniu Polski w tej historii. Wcześniej się zmienia. To jest oczywiście reformacja. Reformacja, czyli rozłam wewnętrzny chrześcijaństwa zachodniego, którego głównym ośrodkiem, centrum, źródłem są Niemcy.

Daje o sobie znać to niemieckie poczucie – bo reformacja wyrasta z tego samego źródła pychy, o którym mówiłem – imperialnej pychy niemieckiej. Niemcy nie mogli pogodzić się z tym, że centrum chrześcijaństwa nie jest w Niemczech, tylko w Rzymie. I stąd nienawiść do Rzymu. Miłość i nienawiść. Podbić Rzym, uczynić Rzym swoim niemieckim, stołecznym miastem.

Ale skoro to nie wychodzi, skoro Italia ma odrębną tożsamość i trzeba było rywalizować o to z Francją – to właśnie stąd wyrasta ten błąd, który przybiera postać religijnej apostazji, herezji. Postaci nadanej ostatecznie przez Lutera. Ta idea buntu niemieckiego, która odżywa zresztą dzisiaj w Kościele Katolickim, także w postaci kolejnych schizm, które niejako są uruchamiane

przez hierarchów niemieckich Kościoła Katolickiego, którzy wbrew Rzymowi próbują ten kościół reformować na modłę niemiecką.

Otóż ten bunt zmienił położenie Polski na granicy. Ta granica znowu okazała się wąską granicą między ofensywą idącą od wschodu – moskiewską, od południa – islamu i od zachodu – świata protestanckiego.

Polska stała się po raz pierwszy jedyną dużą reprezentantką świata katolickiego w tej części Europy. To jest nowa sytuacja od wieku XVI, bo przecież kraje skandynawskie, wcześniej katolickie, także przyjmują luteranizm, ze Szwecją na czele. To właśnie sprawia, że to *położenie na granicy* Polski staje się tak dramatyczne w wieku XVII.

Wiek XVII jednakże przynosi coś znacznie gorszego dla naszej sytuacji i naszego, powiedziałbym, położenia geokulturowego wobec Zachodu, a mianowicie skutek wojen religijnych i skutek systematycznych postępów świata protestanckiego, rozbijającego dawniejszą, przecież istniejącą, wspólnotę *Christianitas*, stopniowo zwycięża w części Europy Zachodniej nowa wizja europejskości – europejskości, która chce rozstać się z chrześcijaństwem jako źródłem podziałów religijnych: *to już spójrzmy na chrześcijaństwo jako na źródło naszych kłopotów*. No bo protestanci walczą z katolikami, katolicy z protestantami, luteranie, kalwini, różne inne odłamy – to w takim razie może w chrześcijaństwie, w samej religii jest zło.

Ta dynamika, którą w uproszczony sposób przedstawiam, nabiera takiego oto charakteru, kiedy Polska jest dramatycznie osłabiona po wojnach, po najeździe protestancko-prawosławnym. No bo zwróćmy uwagę, że ta wojna, która zniszczyła Polskę bardziej niż II i I wojna światowa razem wzięte, czyli I wojna północna połączona z najazdem moskiewskim i powstaniem Chmielnickiego, a więc wydarzenia od 1648 do 1660 roku – skupiły wszystkich wrogów katolicyzmu na ziemi polskiej.

Chmielnicki podnosi swój bunt, oczywiście instrumentalnie, ale jednak – pod sztandarem prawosławia. Moskwa, która go wspiera – wyłącznie pod sztandarem prawosławia – zajmuje wschodnią połowę, czy nawet więcej niż połowę Rzeczypospolitej. Od północy wkraczają Szwedzi pod sztandarem wojny religijnej, w imieniu Lutra mającej zetrzeć ruch na czele bestii – jak wzywa Oliver Cromwell, ówczesny lord protektor, potworny dyktator. Aby król szwedzki stał się ruch na czele bestii, czyli Polskę jako główną siłę katolicyzmu, a bestią nazywa tutaj papieża, czyli katolicyzm po prostu.

A więc traktował król szwedzki te wojny także jako pewnego rodzaju misję religijną – walki z katolicyzmem. Pomagający mu książę siedmiogrodzki Rakoczy był Kalwinem i też z nienawiści do katolicyzmu prowadził swój atak. Tak jak i Bogusław Radziwiłł, jeszcze jeden kontrahent pierwszego projektu rozbioru Polski w Radnot, który – nie tylko w imieniu interesów rodziny Radziwiłłów, ale interesów kalwińskiej gałęzi tej rodziny – podpisał ten niesławny akt rozbioru Rzeczypospolitej w Radnot.

Warto zobaczyć ten wymiar religijny, nienawiści do polskości jako ośrodka katolicyzmu, ostatniego bastionu katolicyzmu w tej części Europy, gniecionego ze wszystkich stron. To uderzenie osłabia Polskę bardzo dramatycznie i chwiejącą się ledwo na nogach Rzeczypospolita wchodzi w wiek XVIII w sytuacji, kiedy zmienia się sama Europa i jej pojęcie – zmiana, której podstawą były potężne wojny o dominację nad zachodnią częścią Europy między Cesarstwem a Francją. Niestety nie polegało na tym, że dwa mocarstwa katolickie, jakie jeszcze zostały,

walczyły na śmierć i życie między sobą: Francja Ludwika XIV i Cesarstwo. A oczywiście korzystały na tym mocarstwa protestanckie, takie jak Anglia, Niderlandy, Szwecja jako aliantka Francji, czy Prusy także jako aliant Francji.

Te wojny doprowadzają do nowej koncepcji ułożenia porządku politycznego w Europie. Porządku już bez Boga, bez chrześcijaństwa. Symbolem tego nowego porządku staje się hasło *Balance of Power* przyjęte w traktacie w Utrechcie w 1713 roku kończącym wojnę o sukcesję hiszpańską. Wielka wojna w zachodniej Europie, w której oficjalnym zakończeniu traktatowym pojawia się po raz pierwszy pojęcie *Balance of Power*. Nie ma już religii – bo wcześniej zawsze była religia w traktatach – odwołania do Boga, do zasad moralnych. Jest tylko siła: kto jest silniejszy.

Liczą się tylko najsilniejsi. A jeżeli jeden z najsilniejszych zyskuje, to i drugi musi zyskać. To jest najkrótsza droga do rozbioru. Bo jeżeli Rosja w toku XVIII wieku przejmuje kontrolę nad Polską, to Prusy koniecznie chcą uszczknąć te strategicznie ważne dla nich kawałki, no i Austria – chociaż nie ma żadnego powodu walczyć z Polską – musi w imię *Balance of Power* zająć najwięcej, w sensie wartości, terenu, czyli Galicję. Taka jest geneza udziału Austrii w pierwszym rozbiore.

Tak jak później w XIX wieku będą dzielić terytoria afrykańskie, imperia kolonialne, europejskie, tak dzieliły w XVIII wieku w imię zasady *Balance of Power*. Nie ma już wtedy w wymiarze politycznym chrześcijańskiej Europy. Jest Europa *Balance of Power*.

W tym momencie wkracza do Europy nowa siła – Rosja Piotra I. Rosja, która się europeizuje, ale europeizuje się w tym nowym znaczeniu. Przyjmuje świecką kulturę europejską przez protestanckie wzory wzięte z północnych Niemiec, Niderlandów i Anglii. I chce demonstrować swoją zdolność emanowania siłą. Kontrola za pomocą siły.

I zdobywa w ten sposób uznanie, oparte na lęku, na strachu przed tą siłą w Europie. I tak kształtuje się sytuacja, która prowadzi do rozbiorów, a mianowicie Rosja zostaje uznana za najważniejsze imperium, z którym trzeba się liczyć. Trochę barbarzyńskie, ale jednak europeizujące się w tym nowym znaczeniu. Trzeba się z nim liczyć i jeżeli Rosja ma nie pójść dalej, to może w imię *Balance of Power* dać jej kawałek tego mało ważnego terenu – Polski. To rozumowanie kategoriami *Balance of Power* niszczy wspólnotę europejską, niszczy katolicyzm od środka, ale niszczy także Polskę od środka. I to jest zjawisko chyba najbardziej dramatyczne i smutne, bo skutkujące do dziś.

Przed wykładem wymieniałem opinię z panią Morawiecką mówiąc o tym zjawisku, które nas martwi, że wciąż około 30% naszych współobywateli traktuje Polskę przynajmniej z góry, to znaczy jako obiekt pogardy, obiekt, nad którym chcą się wybić w poczuciu wyższości wobec tej hołoty, która jeszcze jakoś Polskę szanuje, która żyje tradycją, która szanuje historię. Ta grupa, która wyznaje zasadę świetnie sformułowaną przez Donalda Tuska – *polskość to nienormalność*.

Otóż to zjawisko nie zrodziło się w ostatnich latach, to nie jest dziedzictwo komunizmu, to jest dziedzictwo końca XVII i całego XVIII wieku. Wtedy ta mentalność się tworzy. W poczuciu słabnącej Rzeczypospolitej – to już nie jest Rzeczpospolita złotego wieku z poczuciem siły, tylko poczucie: jesteśmy tacy zniszczeni, wymizerowani przez te najazdy poprzedniego stulecia wspomnianej wojny północnej, nowej wojny północnej – czy my jesteśmy w stanie jeszcze

cokolwiek zrobić, żeby uratować swoją niepodległość, uratować królestwo? Czy jesteśmy w stanie reprezentować sami siebie?

I część elit arystokratycznych czy magnackich wybiera tę oto ścieżkę dezercji: *to może już machnijmy ręką na tę polskość*. Pierwszy raz sformułował to starosta radomski Piotr Kochanowski już w roku 1668, pisząc do ambasadora francuskiego w Warszawie: *to już niech tu przyjdzie ambasador francuski do Warszawy, niech ogłosi, że tutaj jest prowincja Francji, bo w Polsce nic nie umiemy zrobić, nic tutaj się nie da zrobić, to jest tak beznadziejny kraj, niech tu przyjdzie francuski ambasador i rządzi tym beznadziejnym krajem*. To zostało napisane w 1668 roku.

Bliski tego myślenia – ale nie przekroczył tej granicy – był działający konfident Francji, wtedy wielki hetman Jan Sobieski. Na szczęście jako król zachował się inaczej, zerwał z tą postawą, ale ona zaczęła zdobywać coraz więcej zwolenników, im bardziej słabła będzie Rzeczpospolita. I w wieku XVIII w ramach doktryny oświecenia – z Francji Wolter, John Locke w Anglii, Hume w Szkocji, czy encyklopedyści z Louisem de Jaucourt, autorem hasła o Polsce w wielkiej encyklopedii francuskiej – wszyscy głoszą jedną tezę: *istota nienormalności polega na katolicyzmie*. Katolicyzm to przesąd, zabobon, wsteczniactwo. Jeżeli rower ma być nowoczesny, musi pozbyć się katolicyzmu.

I w haśle o Polsce jest to jasno sformułowane. Nieszczęściem Polski jest jej katolicyzm. To jest jej ciężar, to jest jej wsteczniactwo, samo zło. Dlatego Polskę trzeba wymazać, bo Polska reprezentuje siły wsteczne. Dlatego Wolter pisze na zamówienie Katarzyny II i Fryderyka II paszkwil na Polskę ze szczerą – oczywiście niebezinteresowną, bo dobrze mu za to płacono – myślą, że trzeba wymazać tę hańbę, wymazać Kościół Katolicki. A tu, w tej części Europy, Polska jest ostatnim bastionem katolicyzmu. I część polskich elit przyjmuje ten punkt widzenia. Przynajmniej o nas przestaną mówić źle na salonach zachodnich.

Przykładem tego najbardziej niechlubnym niech będzie ówczesny prymas Polski, nominowany przez Katarzynę i chwalony na jej rozkaz przez Woltera, Gabriel Podoski, który, no cóż – nie tylko, że oficjalnie zawsze występował ze swoją luterąską kochanką, odprawił w ciągu swojego życia tylko dwie msze i w czasie procesji występował na balkonie z ową kochanką, to w dodatku umarł w domu gry na południu Francji z przejedzenia.

To on chciał oderwać kościół w Polsce od Rzymu i przygotował projekt przekształcenia Kościoła Katolickiego w Polsce w kościół narodowy podporządkowany Petersburgowi, Katarzynie. To był prymas, jego portret wisi w warszawskim seminarium duchownym, gdzie miałem niedawno wykład – bo jest ciągłość. On był reprezentantem tej elity, którą później kojarzymy z jedną nazwą – Targowicą. Choć to jest bardziej złożone zjawisko, niektórzy targowiczanie w imię obrony dawnej tradycji polskiej występowali przeciwko niepodległości.

Istotne jest tutaj coś innego, a mianowicie założenie, że *polskość to nienormalność*. Wyjściem jest zerwanie z polskością, po prostu. Z tej pułapki, w którą weszliśmy z chwilą, kiedy świat się zmienił, a my nie nadążamy. Na szczęście część polskich elit pójdzie inną drogą, nie taką, jak poszli targowiczanie – czyli ci, którzy głosili, że skoro świat idzie w stronę nowoczesności, która jest zła, a polskość ma wspaniałe tradycje, to my odwrócimy się od świata i nie przyjmujemy żadnej formy modernizacji naszych obyczajów, gospodarki, naszego ustroju, tylko zostaniemy przy starych zasadach, które są już całkowitą wydmuszką i manipuluje nimi caryca i król pruski Fryderyk. Oni de facto zgodzili się na utratę niepodległości Polski.

Ale byli tacy, którzy uznali, że polskość nie jest nienormalnością i że polskość da się pogodzić z nowoczesnością, która nie musi oznaczać śmiertelnej walki z katolicyzmem. Z nowoczesnością, która ma kształt nowych szkół, nowych instytucji państwowych, lepszej gospodarki, bez której nie da się zbudować silnej armii, a bez silnej armii nie obronimy niepodległości.

To reformatorzy Sejmu Wielkiego, Konstytucji 3 Maja pokażą tę ścieżkę, która zostanie w umysłach, w wyobraźni kolejnych pokoleń tych, którzy będą dobijali się o polską niepodległość w wieku XIX poprzez powstania i w pracy organicznej – bo tych dwóch rzeczy nie wolno przeciwstawiać. I światła część elit, także duchownych, będzie prowadziła tę grupę polskich patriotów przez wiek XIX do odzyskania niepodległości. Towarzyszy temu poczucie, że obrona polskości, wzmacnianie polskości jest służbą także kościołowi – Kościołowi Katolickiemu osaczonemu przez agresywną rusyfikację prowadzoną przez carat od strony wschodniej i agresywną germanizację traktowaną od początku rozbiorów jako dekatolicyzację. Najbardziej wyrazistego, symbolicznego i praktycznego wymiaru nadał temu Bismarck prowadzący *Kulturkampf*, czyli walkę z katolicyzmem i polskością jednocześnie, bo taka była treść *Kulturkampfu*.

Ta właśnie walka sprawi, że Polacy, ci najlepsi Polacy, we właściwej reakcji na owo zagrożenie będą prowadzili Polskę do walki o niepodległość, do modernizacji i do utrzymania polskiej tożsamości zagrożonej z tych dwóch stron.

Nie mając już czasu, pozwolę sobie tylko podsumować krótkim nawiązaniem do wieku XX.

Polska odzyskała niepodległość, jak wiadomo. Odzyskała niepodległość w momencie, kiedy ta pokusa odejścia od polskości jako nienormalności, jako słabości, została uformowana w kształt nowej ideologii. Pierwszy zapowiedział to odejście – pisze o tym najwnikliwiej nieco zapomniany dziś mój przyjaciel prof. Henryk Głębocki – Adam Kurowski, pisarz polityczny emigracji, który manifestacyjnie odstąpił od polskości w 1834 roku.

Był pierwszym, który ogłosił, że przyszłość należy do socjalizmu i że trzeba odejść od polskości na rzecz socjalizmu. Nie da się tych dwóch rzeczy pogodzić. Nowoczesność jest tam, w socjalizmie ewoluującym stopniowo w stronę komunizmu. Tam będzie przyszłość. Później oczywiście proletariatchycy, Waryński pójdą tą drogą internacjonalistyczną. To jest droga do komunizmu jako wyboru nowoczesności, która nie tylko radykalnie zwalcza wszelką religię, nie wyłącznie katolicką, ale także zwalcza tożsamość narodową.

Ta nowa forma ideologii nowoczesności staje jako śmiertelne zagrożeniem u wrót dopiero co odbudowanych wojsk w 1920 roku. I wtedy idea Przedmurza staje ponownie jak żywa przed oczami tych, którzy walczyli w 1920 roku. Pisał o tym bardzo pięknie, wymownie, gen. Władysław Sikorski, właśnie w tamtym czasie dowodzący Piątą Armią, która zablokowała drogę bolszewikom na Warszawę. Sikorski przypominał w swojej relacji z tej śmiertelnej walki z bolszewicką nawałą, że czuł się wtedy jak obrońcy Legnicy w 1241 roku w konfrontacji z innym światem przychodzącym ze wschodu. Różnica była taka, że wtedy pod Legnicą polskie rycerstwo walczyło u boku rycerstwa z innych krajów, m.in. z Niemiec. W 1920 roku polskie wojsko walczyło samotnie. Oczywiście byli ochotnicy ukraińscy, była pomoc materiałowa z Węgier, była grupa oficerów łącznikowych z Francji, ale wojsko polskie było samo w tej konfrontacji i ją wygrało. Ocaliło cywilizację europejską na jej granicy wschodniej przed zalewem bolszewickim na 20 lat.

Tylko na 20 lat, czy aż na 20 lat. Bez tego nie byłoby nas tutaj, nie byłoby Polski, bo te 20 lat wykształciły kolejne pokolenie, najbardziej patriotyczne może pokolenie w polskiej historii, pokolenie Kolumbów, pokolenie Baczyńskiego, Wojtyły. Pokolenie, które musiało zmierzyć się z czymś jeszcze gorszym niż w 1920 roku, bo z uderzeniem dwóch systemów totalitarnych, które wyszły z tych dwóch pokus, o których mówiłem i pokazały raz jeszcze położenie Polski na granicy – na granicy zachodniej i wschodniej katolicyzmu.

Bo od wschodniej uderzył raz jeszcze system komunistyczny, bolszewicki, a od zachodniej totalitaryzm germański. Ta pokusa panowania nad Europą, wcielona tym razem w narodowy socjalizm Adolfa Hitlera, który podał sobie rękę ze Stalinem w akcie Ribbentrop-Mołotow.

I ta straszliwa próba, która wydawało się zmiażdży Polskę, nie zmiażdżyła jej. Nasza historia jest, mogę to powiedzieć w roku 2025, bardzo optymistyczna. Bo Polska jest w tym samym miejscu, w którym była w czasach Bolesława Chrobrego. Owszem, nie mamy Słowacji, ale nie musimy tego aż tak bardzo żałować. A granice mamy takie właśnie, jakie wywalczył Chrobry.

I te granice wynikające z naszej nienormalnej historii warto skonfrontować z doświadczeniem losu Czechów. Czechy, które były mniej więcej równorzędnym wobec państwa Mieszka, Bolesława i następnych władców polskich państwem. A później przerosną znacznie państwo polskie swoją siłą, znaczeniem, wielkością. No cóż, mają dzisiaj czterokrotnie mniej ludności niż Polska. I są po prostu małym, dobrze prosperującym krajem. Polska jest krajem o większym ciężarze gatunkowym. To nie jest po to, żeby się wywyższać nad Czechów, tylko żeby powiedzieć tym, którzy twierdzą, że *polskość to nienormalność i kończy się klęską* – że nie mają racji.

Ale jednocześnie ta polskość wywalczona w taki heroiczny sposób na granicy między dwoma systemami, które próbują zniszczyć katolicyzm i to, co broni tej pierwotnej wersji chrześcijańskiej tożsamości Europy – ta polskość utrzymała się i utrzymuje dzięki sile kulturowej, rozwiniętej oczywiście w tyłu dziełach.

Akurat teraz trwa XIX Konkurs imienia Fryderyka Chopina, ten najbardziej wyraźny symbol polskości w skali międzynarodowej. Ale przecież bez innych dzieł, które powstały od Kochanowskiego po Mickiewicza i Leśmiana i bez tych dzieł, które powstały w Dwudziestoleciu, bez dzieł wymienionych już przeze mnie poetów, twórców ducha, bez tego, co zrobił ojciec Kolbe w Dwudziestoleciu dla umocnienia katolicyzmu Polski, bez tego, co zrobiła swoim mistycznym wysiłkiem duchowym siostra Faustyna – Polska nie przetrzymałaby zapewne. Także bez tego prozaicznego wysiłku rozmaitych przedsięwzięć, instytucji kulturalnych, które przez 20 lat wolnej Polski podtrzymywały tego ducha i rozwijały go w nowoczesnym XX wieku.

Pokazały, że polskość i nowoczesność nie są sprzeczne. Że można budować Polskę nowoczesną rękami Polaków. To była bardzo ważna lekcja Dwudziestolecia. I że uległo ono wyłącznie przemocy – jakiej ulec musiałoby każde inne państwo na świecie – dwóch najpotężniejszych potęg militarnych XX wieku.

To doświadczenie pozwoliło Polsce podnieść się i doczekać momentu nieuchronnego kryzysu imperium. Bo jak powiedziałem, każde imperium kiedyś upadnie. I imperium sowieckie także się załamało. I ten moment najpiękniej podsumowuje chwila, którą wielu z nas pamięta. Chwila wyboru Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową. Ten moment, kiedy zyskaliśmy poczucie nadziei, że polskość to nie tylko nie jest nienormalność, ale polskość to jest niezwykła siła duchowa,

która jest w stanie objąć ster nad kościołem powszechnym. Polskość to uniwersalność. Nikt tego bardziej wymownie nie potwierdził niż Karol Wojtyła zasiadając na Stolicy Piotrowej i władając nią przez 26,5 roku w sposób, który zasłużył mu przydomek Wielki i jednocześnie godność świętego Kościoła Katolickiego.

Myszę, że warto na sam koniec skonfrontować te dwa wystąpienia. Wystąpienia z 1987 roku, kiedy wydawało się, że tracimy nadzieję.

Była Solidarność, był papież, ale złamane zostały te nasze nadzieje stanem wojennym wprowadzonym przez sowieckiego pucybuta w Polsce 13 grudnia. I wydawało się, że się nie podniesiemy, ale przychodzi Jan Paweł II i kolejnymi pielgrzymkami podnosi nasze nadzieje. W 1983, żeby przypomnieć tę wielką rolę Przedmurza duchowego w rocznicę Wiktorii Wiedeńskiej, Jana III Sowieckiego. I w 1987 roku, kiedy na Westerplatte wygłasza tę homilię skierowaną do młodych, że każdy musi znaleźć swoje Westerplatte, że w trudnych czasach musimy stanąć wobec trudnych zadań, podjąć je i wykonać. To było przesłanie misji, właśnie misji takiej, jaka tysiąc lat wcześniej została zapoczątkowana przez świętego Wojciecha.

I w tym samym momencie, też w 1987 roku, w katolickim miesięczniku „Znak” – ten tytuł jeszcze pozostaje przy tym periodyku, chociaż wtedy był on pewno uzasadniony – pojawia się artykuł młodego Donalda Tuska „Polak rozłamany”. I właśnie to pojęcie *polskość to nienormalność*, uzasadnione bardzo przemyślnie i w sposób intelektualnie sprawny, że polskość przez swoją nienormalność, przez tę ciągłą walkę na granicy z sąsiadami, którzy raz z lewej, raz z prawej do nas wchodzą, jest czymś strasznie męczącym, czymś od czego najlepiej się uwolnić. I to uwolnienie od polskości daje dopiero poczucie wyzwolenia, wyższości nad tymi, którzy jeszcze grzęzną w tych fantazmatach starych polskich historii i tradycji.

To przeciwstawienie dwóch tekstów, dwóch wypowiedzi z 1987 roku kulminuje się raz jeszcze w 1991, kiedy Papież przyjeżdża po raz pierwszy do wolnej Polski i spotyka się z Polakami. Znowu redaktor, nowy redaktor tego samego miesięcznika katolickiego – Jarosław Gowin pisze: papież już nie rozumie nowej Polski. Katolicki „Znak” odrzuca papieża, mówi, że ten papież już nie rozumie, nie wie o co chodzi. Jarosław Gowin wtedy tak napisał.

Papież rzeczywiście przemawia wtedy – pamiętam to jako bardzo silne przeżycie w Krakowie, kiedy występował – mówi o nowym zagrożeniu po odrzuceniu komunizmu, że te ideologie wzrastające na zachodzie, ideologie nihilizmu, przywołał Nietzschego, są zagrożeniem nie mniejszym od tego, które wydawało się odsunęliśmy od siebie raz na zawsze, zagrożenie komunistycznego zniewolenia. Wtedy ten szmer wokół mnie, szmer wśród tysięcy ludzi zgromadzonych na rynku krakowskim: o czym ten papież mówi? Po co on o Nietzschem mówi? O jakichś zagrożeniach nihilizmu z zachodu? Przecież to w ogóle się nie skleja z naszym doświadczeniem. My się czujemy świetnie, jesteśmy w Europie.

Tak, Polska była już podzielona, na tych, którzy chcieli jej tradycje chronić i rozwijać oraz na obóz *Polskość to Nienormalność*, była podzielona co najmniej od XVIII wieku. I raz jeszcze mocno dał o sobie znać ten podział w ostatnich latach. Ale przecież ostatnie słowo nie może należeć do złego.

Jest taki film amerykański, serial, w kulturze masowej rzadkie zjawisko, serial, który przypomina pewną podstawową prawdę naszej wiary. Dwie zgnębione, powiedziałbym, triumfem zła dookoła, bohaterki mówią tam do siebie, nawzajem pocieszając się: ale przecież obie wiemy, że na końcu i tak wygrywa Chrystus.

I z tym przesłaniem przychodzi do nas Jan Paweł II. To przesłanie zostawiła nam Faustyna, to przesłanie pozostawiła nam polska historia, *historia na granicy katolicyzmu*.

Dziękuję Państwu bardzo.

■ **Andrzej Nowak** – tekst wykładu został opublikowany w dwutygodniku „Prawda jest ciekawa” nr 73 (359) z 17-21 X 2025 r., strony 4-13.

<https://prawdajestciekawa.pl/wp-content/uploads/2025/10/PJC073.pdf>